

Tadeusz Oratowski

Operacja "Dunaj-68" we wspomnieniach dowódcy plutony czołgów

Przegląd Historyczno-Wojskowy 14 (65)/4 (246), 109-134

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

DOKUMENTY I MATERIAŁY

OPERACJA „DUNAJ-68” WE WSPOMNIENIACH DOWÓDCY PLUTONU CZOŁGÓW

Autor publikowanych poniżej wspomnień jako podporucznik WP, absolwent Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu (promocja 1967 r.), rozpoczął zawodową służbę wojskową na stanowisku dowódcy plutonu w batalionie czołgów 11 pułku zmechanizowanego w Krośnie Odrzańskim, wchodzącego w skład 4 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej im. Jana Kilińskiego. Po odbyciu zaledwie kilkumiesięcznego stażu w jednostce ppor. Tadeusz Oratowski wraz ze swoim pododdziałem wziął udział w interwencji zbrojnej dokonanej w sierpniu 1968 r. przez państwa Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. W latach następnych pełnił funkcję oficera operacyjnego sztabu pułku, a po ukończeniu Akademii Sztabu Generalnego służył kolejno w Zarządzie Mobilizacji i Uzupełnień Sztabu Generalnego WP i w Inspektoracie Obrony Cywilnej Kraju (Sztabie Obrony Cywilnej Kraju). Swą 33-letnią służbę wojskową zakończył w 1997 r. jako pułkownik dyplomowany WP, oficer Zespołu Kontroli Zdolności Bojowej Wojsk Departamentu Kontroli MON.

Wspomnienia z udziału w interwencji w Czechosłowacji powstały dopiero po upływie 40 lat od tamtych wydarzeń. Ich autor zapamiętany obraz wydarzeń uzupełnił posiłkując się głównie własnymi, sporządzanymi „na gorąco” zapiskami, a także będącymi w jego posiadaniu dokumentami i fotografiami. Publikowany poniżej fragment wspomnień płk. Oratowskiego jest częścią większej całości, która w formie książkowej ma być opublikowana przez wydawnictwo „Bellona”.

* * *

Wiosną 1968 r. zaabsorbowani codzienną, rutynową koszarową krzątaniną nie dostrześliśmy nawet niczego nadzwyczajnego w tym, że wszystkie pododdziały pułku 8 maja opuściły koszary i przemieściły się w rejon Dzierżoniowa i Wałbrzycha, gdzie rzekomo miały się odbyć ćwiczenia. W garnizonie pozostały jedynie smętne resztki pułku, reprezentowane przez nasz waleczny batalion liczący w sumie około 130 ludzi i posiadający 30 czołgów, a raczej eksponatów muzealnych T-34/85 M (pieszczotliwie zwanych przez nas „kaczorami”), z rodowodem sięgającym II wojny światowej. Zaniepokoiło nas dopiero skoszarowanie kadry batalionu czołgów – jedyne pozostałego w garnizonie pododdziały. Nad ranem 22 sierpnia rozkaz wymarszu dotarł także do batalionu czołgów. Chyba jednak same niebiosy były przeciwne naszej eskapadzie, gdyż odbywającemu się nazajutrz w nocy na pobliskiej stacji kolejowej w Radnicy załadunkowi eszelonu towarzyszyła gwałtowna nawałnica, która mocno utrudniła nam to zadanie. Upravszy się jednak

z umieszczeniem i umocowaniem czołgów na lorach, przemoczeni i śmiertelnie zmęczeni, padliśmy wreszcie na twarde deski prycz w naszych KL-ach (wagony towarowych przystosowanych do przewozu wojska) i jeszcze przed świtem 23 sierpnia wyruszyliśmy przez Wrocław do stacji Kamienna Góra, gdzie nastąpił rozładunek. Stamtąd, już na gąsienicach, kolumna wozów naszego batalionu ruszyła ku granicy z Czechosłowacją. Do granicy, przez nadgraniczne miasteczko Lubawka, dotarliśmy w samo południe 23 sierpnia, a stamtąd podążyliśmy do miejsca zgrupowania naszego pułku w Milovicach pod Pragę. Towarzyszyły nam przy tym różne kłopoty i perturbacje związane z pokonywaniem trudnej trasy w terenie górzystym (średnie tempo naszego marszu wynosiło 20–30 km/godz.), awariami sprzętu, a także nieprzychylnymi reakcjami napotykanymi mieszkańców wiosek i miejscowości. Po dotarciu do wyznaczonego miejsca stacjonowania i objęciu przydzielonych poszczególnym pododdziałom sektorów odpowiedzialności, niezwłocznie przystąpiliśmy do pełnienia wart i służb ochronnych wokół lotniska w Milovicach.

* * *

Odległe o około 18 km od Pragi Milovice były sporym garnizonem Armii Czechosłowackiej. Stacjonowały tam następujące jednostki: 13 Dywizja Pancerna, Oficerska Szkoła Wojsk Lotniczych, brygada saperów, batalion specjalny, a także pododdziały służb remontowych i zaopatrywania.

Podczas odprawy dowódca batalionu zapoznał oficerów z ogólną sytuacją i wydał poszczególnym kompaniom zadania na czas pobytu w Czechosłowacji. Naszemu pułkowi powierzono ochronę jednostek lotniczych sojuszników z Układu Warszawskiego, rozlokowanych na lotnisku wokół pasów startowych, a także odizolowanie (zablokowanie) jednostek wojsk czechosłowackich stacjonujących w Milovicach.

Ponieważ organiczny pułk czołgów naszej dywizji pozostał w kraju, jako wzmocnienie przydzielono nam pułk czołgów 5 Dywizji Pancernej z Gubina. Pułk ten, posiadający wówczas najnowszej generacji czołgi T-55 (nasza 4 DZmech była wyposażona, podobnie jak nasz batalion, jeszcze w stare pocziwe „kaczory”), rozmieszczono wraz z naszym 1 batalionem piechoty zmechanizowanej wokół kompleksu koszar czeskiej dywizji pancernej w Milovicach, z zadaniem blokowania ewentualnych działań strony czeskiej przeciwko wojskom okupacyjnym.

Nasz batalion czołgów otrzymał, wspólnie z 2 batalionem piechoty naszego pułku, zadanie ochrony lotniska wraz z jego infrastrukturą oraz całym systemem naprowadzania. Ścisłej biorąc, mieliśmy zapewnić ochronę stacji radiolokacyjnych zainstalowanych doraźnie przez służby lotniskowe armii radzieckiej, które zjawiły się tu jeszcze przed naszym przybyciem.

Podano nam także do wiadomości, że na czas trwania operacji „Dunaj-68” nasza dywizja wchodzi w skład 2 Armii WP utworzonej na bazie Śląskiego Okręgu Wojskowego; stanowisko dowodzenia (SD) dywizji znajduje się w m. Loučen, a sztab armii w Hradec Kralove.

Realność tak postawionego zadania od razu wzbudziła moje wątpliwości. Uzmysłowiłem sobie mianowicie, że w razie wybuchu otwartego konfliktu nasze czołgi, wyprodukowane jeszcze podczas wojny stare T-34/85, nie miały najmniejszych

szans w boju spotkaniowym z czeskimi T-55! Doskonale wiedziałem, że 85-milimetrowe armaty naszych „kaczorów” z odległości 400–500 m mogą im jedynie „nagdać”, czyli co najwyżej uszkodzić gąsienice lub pogiąć ich błotniki. Za to nasz potencjalny przeciwnik z odległości 1500–1200 m mógł zrobić z nas istną mamałygę! Przywodziło to na pamięć fakty znane z historii walk aliantów po wylądowaniu w Normandii, gdzie Amerykanie, Anglicy i Kanadyjczycy (czołgiści generała Maczka też!) za uszkodzenie jednej niemieckiej maszyny (pantery lub tygrysa) płacili stratą 10 załóg shermanów! Wysoka to cena! Zrozumiałe, że kalkulacje te bynajmniej nie napawały nas optymizmem!

Przejąwszy całą infrastrukturę od dotychczas stacjonujących tu jednostek armii czechosłowackiej, Sowieci urządzili tu potężną bazę lotniskową. Na lotnisku bazowały teraz 3 pułki sowieckiego lotnictwa myśliwskiego (wyposażone w samoloty MiG-23) przeznaczone do zapewnienia osłony powietrznej operacji wojsk lądowych w rejonie Pragi. Bazowała tu także brygada śmigłowców transportowych (Mi-6 i Mi-9), która dostarczała jednostkom lotniczym zaopatrzenie z baz sowieckich w NRD i Polsce (m.in. w Legnicy i Szprotawie). Rozlokowano tu także kilka innych jednostek: obsługi naziemnej, radiotechnicznych, inżynieryjnych i logistycznych.

Szokowała mnie (widziana po raz pierwszy w życiu) tak ogromna mnogość bazujących na jednym lotnisku samolotów i śmigłowców oraz pojazdów dowodzenia i zabezpieczenia lotów.

Niesamowite wrażenie robił także widok olbrzymich gumowych zbiorników, w których zgromadzono zapasy paliwa lotniczego. Leżały one pokotem na trawie, wzdłuż całego pasa startowego. Pojemność tych różnej wielkości zbiorników wynosiła średnio około 10–20 tys. litrów.

Oprócz zadań ochrony samego lotniska przez poszczególne kompanie batalionu, również pojedyncze załogi czołgów (w tym także i z mojego plutonu) przydzielono do bezpośredniej ochrony elementów stanowiących infrastrukturę i zabezpieczenie funkcjonowania lotniska, m.in. radiolokacyjnych stacji naprowadzania. Stacje te były rozmieszczone na wysuniętych posterunkach usytuowanych na kierunku pasa startowego, w odległości kilkunastu kilometrów od miejsca naszego zgrupowania.

Po zajęciu wyznaczonych rejonów i dokonaniu rozbudowy inżynieryjnej systemu ochrony wokół przydzielonych obiektów, a także wokół naszego obozu (m.in. wykonanie szczelin przeciwlotniczych, ukryć i stanowisk ogniowych dla czat i posterunków ubezpieczeń), przystąpiliśmy do urządzania obozowiska i zapewnienia sobie w miarę znośnych warunków bytowania na bliżej nieokreślony, nie dający się wówczas przewidzieć czas pobytu w „gościnie” u przyjaciół Czechów. Na wstępie wyjaśniono nam (by nie było żadnych złudzeń!), że nie mamy co liczyć na dostarczenie z kraju namiotów lub ewentualne zakwaterowanie nas w warunkach stacjonarnych, czyli rzecz ujęto krótko: radzcie sobie sami, panowie pancerniacy!

Toteż poradziliśmy sobie. Wyciory do czyszczenia luf armatnich posłużyły nam za maszty namiotów; naciągnięto na nie brezentowe plandeki do okrywania czołgów. Wykorzystaliśmy także i to, że obok (wzdłuż drogi, przy której były rozstawione czołgi naszego zgrupowania z 1 i 3 kompanii) znajdowało się pole, na którym po zakończonych żniwach zalegały bele prasowanej słomy. Okazały się one idealnym tworzywem do zrobienia czegoś na kształt tapczanów. „Zorganizowaliśmy” więc trochę tego towaru na potrzeby okupantów i tak oto, własnym sumptem,

wystawiliśmy obozowisko z 8-osobowych namiotów (każdy na dwie załogi), jako „apartamentów polowych”, w których mieliśmy wprost królewskie spanie!

Po pewnym czasie okazało się, że wraz z nastaniem chłódów i deszczów jesien-nych do namiotów wprowadziły się nieproszone lokatorki – polne myszki, z którymi łoża ze słomy dzieliliśmy po bratersku, aż do końca naszego pobytu w Czechach. A myszki..., bynajmniej nie odczuwały żadnego dyskomfortu z tego powodu, iż przyszło im żyć w symbiozie z okrutnymi okupantami.

W dużym stopniu dzięki smykałce szefa kompanii, dobrego gospodarza, urzędzo-na została także polowa kuchnia, stołówka i inne nieodzowne elementy urzędze- obozowiska (maszt na flagę, palarnie, pryzmy piasku do celów ppoż., no i oczywiście latryny i doły na odpadki). Prace związane z rozbudową inżynieryjną rejonu zgrupowania trwały w sumie kilka dni, a po ich zakończeniu rozpoczął się dla nas czas monotonnych dyżurów bojowych i wart oraz patrolowania rejonu wokół zgru-powania batalionu. Po tygodniu takich rutynowych działań byliśmy już ogromnie znudzeni. Zaczęliśmy więc w celach poznawczych penetrować teren: najpierw wo- kół obozu, a z czasem zapuszczając się nawet w dalsze okolice lotniska.

Od najbliższego sąsiada, 2 batalionu naszej pułkowej piechoty, oraz stanowiska dowodzenia sztabu pułku oddzielał nas istny „las” kukurydzy. W słowie „las” na- prawdę nie ma żadnej przesady, ponieważ rośliny te osiągnęły takie rozmiary, ja- kich dotąd nigdy w naszym kraju nie widziałem. Stojąc nawet na wieży czołgu (na wysokości około 4 m), nie mogłem dostrzec tego, co się dzieje ponad łodygami ku- kurydzy. Zbioru kukurydzy dokonuje się znacznie później niż zbóż, więc ten „las” towarzyszył nam jeszcze dość długo.

Po zainstalowaniu się w przydzielonym rejonie dowództwo pułku zarządziło przy- gotowanie się do dodatkowych zadań wymagających przemieszczenia się naszego batalionu, w razie zaistnienia takiej konieczności, w pobliże praskich przedmieść.

Ponieważ nasz „stary” uznał, że w celu wykonania tych zadań (ustalenie dogod- nych dróg marszu oraz miejsc rozmieszczenia poszczególnych kompanii i plutonów w przewidywanych sektorach ewentualnego działania) nieodzowne jest przepro- wadzenie rekonesansu. Wsadził więc grupkę oficerów naszego batalionu do trans- portera opancerzonego i udaliśmy się na „wycieczkę”. Ruch na drodze do Pragi był w miarę ożywiony, sporo pojazdów osobowych i ciężarówek pomykało wokół nas. Jechaliśmy nieśpiesznie, a więc można było pogapić się swobodnie na mijane osiedla, domy i ludzi.

Faktycznie, było na co patrzeć! Charakter zabudowy był tu zgoła odmienny od tego, jaki spotykało się wówczas na peryferiach naszych, polskich miast. Przede wszystkim rzucał się w oczy powszechny ład i porządek na ulicach, przed dom- kami w małych osiedlach i wokół dużych kompleksów mieszkaniowych. Rekla- my na sklepach i placówkach usługowych, aczkolwiek nie tak liczne jak dziś, cechowało estetyczne wykonanie i niezbyt agresywna namolność. Wielką radość i uciechę wzbudzały w nas nazwy mijanych sklepów i lokali gastronomicznych (smiśeni zboży, potrawy itp.). Niekiedy o charakterze i przeznaczeniu tych pla- cówek można było się zorientować dopiero po zerknięciu przez szybę wystawo- wą do wnętrza.

Dla wielu z nas było to pierwsze zetknięcie się z tzw. zagranicą. W naszym odbiorze, ten kraj bardziej reprezentował kulturę Zachodu niż Wschodu. Ze zwy-

kłej ciekawości warto było, więc pogapić się dookoła, oczywiście jeśli ktoś potrafił patrzeć i dostrzegać...

Jadąc w otwartym włazie transportera, widziałem dokładnie twarze kierowców i pasażerów w mijanych pojazdach, a także pieszych oczekujących na przystankach i pod światłami na skrzyżowaniach ulic. Były to na ogół twarze ludzi zmęczonych, patrzących na nas beznamiętnie i bez szczególnego zainteresowania – traktujących nas jak powietrze. Czesi, jak mi się wydawało, nie potrafili okazywać jawnie swej wrogości wobec tych, którzy uczynili na nich gwałt – nie leży to chyba w ich naturze. Ale wyraźnie wyczuwałem ich stan ducha i to, że w stosunku do nas ich odczucia na pewno nie miały w sobie nic z sympatii. Zastanawiałem się wówczas, jak wyglądałoby to wszystko, gdyby sytuacja taka zdarzyła się w naszym kraju?

W pewnym momencie na dwupasmowej jezdni wyprzedzał nas volkswagen „garbus”, z którego wychylili się uśmiechnięci młodzi ludzie i żywo zaczęli machać do nas rękami. Grzecznościowo odpowiedzieliśmy im podobnymi gestami, dziwiąc się jednocześnie, skąd taka nagła serdeczność przy spotkaniu z przedstawicielami wojsk okupacyjnych? Wszystko wyjaśniło się, gdy auto wyprzedziło nas i wówczas ujrzeliśmy tylną tablicę rejestracyjną – widniała tam plakietka USA. Wy tłumaczyliśmy to sobie tym, że wśród młodych amerykańskich turystów podróżujących tym „garbusem” byli być może polonusi lub jacyś nasi sympatycy...?

Widok przedmieść Pragi, oglądanej z luku transportera, na długo pozostał w mej pamięci. Byłem tym miastem po prostu zauroczony.

Nasze pierwsze tygodnie pobytu w Czechach poświęciliśmy na poznawanie codziennego toku życia i obyczajów mieszkańców pobliskich wiosek Zbožičko i Straky. Z dużym zainteresowaniem, ale głównie z obowiązku, obserwowaliśmy także funkcjonowanie jednostek wojsk czeskich (Československej Armady) stacjonujących w kompleksie koszar w Milovicach. To wszystko co zobaczyliśmy tutaj, szczególnie pod kątem infrastruktury obiektów wojskowych, w porównaniu z realiami naszego kraju, wpędzało nas po prostu w kompleksy.

Obiekty zajmowane przez czeską dywizję pancerną były nowoczesnym kompleksem koszarowo-garażowym uzupełnionym o właściwy tego typu jednostce przykoszarowy plac ćwiczeń wraz z pełnym zapleczem obsługowo-remontowym. Wszystkie drogi wewnętrzne były pokryte płytami betonowymi, była tu również rampa kolejowa przystosowana do załadunku czołgów, wielostanowiskowa stacja tankowania czołgów, a także myjnia wysokociśnieniowa z zainstalowaną oczyszczalnią ścieków. Istniały tu także wspaniałe warunki do garażowania czołgów – pod specjalnymi wiatami posiadającymi umieszczone za każdym wozem urządzenia do ładowania akumulatorów czołgowych, tzw. konserwatorki. Zapewniały one utrzymanie baterii akumulatorów w stałej gotowości do uruchomienia czołgów, bez konieczności niezwykle uciążliwego ich ściągania z wozów do okresowego doładowywania w parkowej stacji ładowania.

Ogromnie zazdrościliśmy im także instalacji centralnego uruchomienia podgrzewaczy silników czołgów. Zaleta tej instalacji polegała na tym, że w czasie ogłaszania alarmu dla jednostki włączano równocześnie system uruchamiania podgrzewania silników czołgów (całej jednostki lub wybranych pododdziałów) jeszcze przed przybyciem załóg do parku wozów bojowych. Skracало to znacznie czas przygotowania

czołgów do wyjazdu z garaży, a tym samym osiągnięcia gotowości bojowej przez jednostkę. Wspomnę tylko jeszcze o bazie szkolenia załóg czołgowych w warunkach garnizonowych wyposażonej w symulatory (m.in.: miniaturowe poligony, bujanki czołgowe, strzelnice małokalibrowe) czy też o ośrodku przygotowania załóg do pokonywania przeszkód wodnych po dnie.

To było „cóż”! O takim wyposażeniu naszych jednostek w kraju mogliśmy wówczas tylko pomarzyć! Spośród wszystkich znanych mi obiektów koszarowych jednostek pancernych w Wojsku Polskim do takiego poziomu technicznego wyposażenia mógł nieśmiało pretendować jedynie kompleks koszar 11 Dywizji Pancernej w Żaganiu, zaprojektowany i wybudowany jeszcze w latach poprzedzających II wojnę światową, z przeznaczeniem właśnie dla dywizji pancernej.

Przypatrując się temu potężnemu kompleksowi czeskich koszar w Milovicach, zastanawiałem się, w jaki sposób Sowieci opanowali go bez konieczności uciekania się do użycia siły. Jakiego przy tym, używając języka pana Onufrego Zagłoby, zazyli fortelu?

Wiedzieliśmy, że już od początku maja 1968 r. wzdłuż granic tego kraju zostały zgrupowane znaczne siły wojsk Układu Warszawskiego w przewidywaniu ewentualnej interwencji zbrojnej, gdyby zawiodły (zastosowane przez ZSRS) środki politycznej „perswazji” przeciwko „zbuntowanej” Czechosłowacji. Po drugiej stronie wojska czechosłowackie również znalazły się w rejonach wyjściowych – w gotowości do użycia w razie próby naruszenia suwerenności ich kraju. Starano się więc uniknąć otwartego konfliktu zbrojnego, który mógłby doprowadzić do znacznych strat, co w konsekwencji mogło doprowadzić do trwałego rozłamu w łonie całego bloku wschodniego. Chcąc temu zapobiec, różnymi zabiegami polityczno-dyplomatycznymi doprowadzono do chwilowego załagodzenia zaognionej sytuacji, czego dowodem miało być wycofanie w pewnym momencie wojsk sojuszniczych ze stref nadgranicznych. I tak też postąpiono.

Z chwilą, gdy strona czechosłowacka uzyskała od swych organów wywiadowczych potwierdzenie, że wojska te rzeczywiście zostały wycofane, odwołano stan gotowości bojowej i ich jednostki, wielce zresztą uradowane takim obrotem spraw, powróciły do swych macierzystych garnizonów. Tak też było i w Milovicach. Jakież było więc zaskoczenie czeskich żołnierzy, gdy pewnego sierpniowego poranka wyrwała ich z głębokiego snu pobudka i komenda wzywająca na gimnastykę poranną, lecz tym razem wydana przez sowieckiego starszyne!

Wśród naszych chłopaków chodziły opowieści, zasłyszane od sojuszników, że tuż przed północą pamiętnego 21 sierpnia, nad lotniskiem w Milovicach zatoczył kilka kręgów mały samolot transportowy z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach, prosząc o zezwolenie na lądowanie ze względu na awarię silnika. Dyżurny z wieży kontroli lotów zezwolił na lądowanie maszyny i podał miejsce, gdzie po posadzeniu samolotu należy podkołować, by można było usunąć awarię. Załoga samolotu wykonała wszystkie nakazane manewry, a gdy maszyna zatrzymała się, wysiadł z niej kilku oficerów sowieckich, zapalili papierosy, po czym nieśpiesznie udali się na wieżę kontroli lotów. Tu spytali dyżurnego, czy dowódca garnizonu jest na miejscu, a gdy otrzymali potwierdzenie, wówczas poprosili go telefonicznie o przybycie na lotnisko celem odebrania niezwykle pilnej i ważnej przesyłki. Wysłano więc po niego samochód z asystą, ale już utworzoną przez rosyjskich spadochro-

niarzy. Tymczasem zaś jeden z przybyłych „gości” (był w mundurze lotniczym) wyjął z kabury pistolet, położył go na pulpicie kierowania i głosem nie znoszącym sprzeciwu poprosił czeskiego dyżurnego kontrolera lotów, by chwilę sobie „odpoczął”... Wziąwszy następnie do ręki mikrofon nadajnika radiowego, począł sadzać na pasie lotniska lądujące w sekundowych odstępach sowieckie samoloty myśliwskie i transportowe. Miały one na swych pokładach sporą liczbę spadochroniarzy starannie przygotowanych m.in. do „prowadzenia zaprawy porannej” z wojakami Československej Armady.

Przybyły w tym czasie na lotnisko dowódca czeskiego garnizonu został poproszony (przy użyciu tej samej argumentacji, jakiej użyto w stosunku do dyżurnego kontroli lotów) o udostępnienie kluczy od sejfów z zawartością wszelkich dokumentów niezbędnych do kierowania funkcjonowaniem garnizonu itp.

Po kilku dniach naszej tu bytności byliśmy świadkami incydentu, który wydarzył się na lotnisku. Otóż, w pewnej chwili naszą uwagę zaabsorbowało to, że panującą dotąd ciszę nad płytą pasa startowego przerwał nagle ryk startującego czeskiego MiG-21, który szybko nabrał dużej wysokości. Wydało się to dość dziwne, tym bardziej że od chwili naszego tu przybycia żaden z czeskich samolotów nie startował. Po chwili, gdy samolot ten stał się już ledwie widoczną kropką na błękitnym niebie, po pasie przemknęły jak błyskawice dwa MiG-23 z czerwonymi gwiazdami na ogonach; ich ryczące dopalacze powodowały dotkliwy ból w uszach.

Nie minęło kilka chwil, gdy naszym oczom ukazał się ponownie ten sam czeski MiG-21 siadający na pasie, a nad jego ogonem wiszące, aż do chwili jego wylądowania, dwa „gwiazdory”.

W konsekwencji tej, jak widać nieudanej próby urwania się czeskiego pilota do „raj(ch)u”, wszystkie czeskie samoloty zostały ściągnięte na koniec pasa startowego, gdzie ustawiono je nosami do siebie, spięto razem łańcuchem za przednie golenie kół, zamknięto na kłódkę, no i dodatkowo wystawiono przy nich sowieckiego wartownika.

W taki oto prosty sposób Sowieci pozbyli się jakichkolwiek „nieplanowych” lotów w wykonaniu pilotów z Československej Armady.

Tak się złożyło, że przypadkowo spotkany w naszej kantynie sowiecki oficer, który odlatywał już do Legnicy, zaproponował mi odkupienie od niego za jakieś symboliczne grosze radia tranzystorowego. Chętnie na to przystałem, gdyż dawało mi to wreszcie szansę na stały kontakt ze światem. Oficer polityczny batalionu przekazywał nam wprawdzie informacje o bieżącej sytuacji, ale poza tym, że były one sporadyczne, a więc nie zawsze aktualne, budziły nasze zastrzeżenia co do obiektywizmu i wiarygodności. Podczas długich godzin spędzanych na dyżurach skrzętnie przeszukiwałem fale eteru, wsłuchując się z ogromnym zainteresowaniem w relacje ze zdarzeń, które nastąpiły w Czechosłowacji po 21 sierpnia. Odbierane przez moje radyjko zachodnie rozgłośnie radiowe (niemieckie, austriackie, francuskie, angielskie) bez przerwy relacjonowały moment wkroczenia wojsk sowieckich do Pragi i komentowały ich dalsze poczynania. Finalnym akcentem tych audycji był ciągle powtarzany moment zajęcia praskiej radiostacji nadającej dramatyczne wiadomości, aż do chwili zajęcia jej przez Sowieców. Relacje o aktualnej sytuacji w Czechosłowacji były przetykane kierowanymi do państw zachodnich apelami o pomoc. Ostatnim zarejestrowanym akordem pracy

radiostacji były głośne okrzyki i odgłosy wystrzałów w kabinie spikera, po czym zapadała głucha cisza oznaczająca wyłączenie nadajnika.

Radio „Berlin” i lokalne stacje z terenów NRD wprost zachłystywały się opisami sprawnie przeprowadzonej operacji zajęcia Czechosłowacji przez wojska sojusznicze. I co charakterystyczne, od rana do nocy wszystkie serwisy informacyjne poprzedzały fanfary zwycięstwa i „paradenmarsze”! Żołnierze Volksarmee, których kilku widziałem w Milovicach, zachowywali się niezwykle butnie i wyniośle wobec Czechów doskonale pamiętających niemiecką aneksję ich kraju w 1938 r. Mundury NAL-owców w kolorze feldgrau, a także kształt ich hełmów wzbudzały dziwne skojarzenia... i powszechny brak sympatii zarówno ze strony samych Sowieców, jak też i pozostałych armii UW. Z uczuciem nieskrywanej ulgi odebraliśmy wiadomość, która dotarła do nas chyba w piątym dniu trwania operacji „Dunaj-68”, o wycofaniu niemieckiego kontyngentu z Czechosłowacji.

A tymczasem Czesi, po doznanym z początku szoku nieomal każdego dnia sprawiali stacjonującym tu wojskom okupacyjnym różne dziwne psikusy. Ot, choćby przecięcie kabla energetycznego, powodujące sparaliżowanie funkcjonowania lotniska czy też rytualne, nieomal należące do porządku dnia, a może raczej każdej nocy, prowokowanie strzelaniny wokół lotniska. Zabawa ta rozpoczynała się zwykle po zapadnięciu zmroku, a wówczas wartownik z czeskiej szkoły lotniczej (warty wewnętrzne w swych jednostkach pełnili nadal Czesi) wspinał się na wał ziemny okalający stanowiska hamowni silników lotniczych, podnosił do góry swego „samopala” (pistolet maszynowy kałasznikowa w wersji czeskiej) i oddawał kilka serii w powietrze. A wówczas, jak na komendę, wszyscy wartownicy z jednostek sojuszniczych, którzy pełnili warty wokół obiektów lotniskowych – przekonani, że to do nich strzelano – walili ze swej broni do wszystkiego, co się tylko na lotnisku poruszało, aż do zupełnego wyczerpania amunicji. No cóż, strach ma wielkie oczy.

Z czasem, gdy nasi żołnierze nabrali większego doświadczenia i umiejętności poruszania się w kompletnych ciemnościach, jakie tam panowały, i potrafili odróżniać realia od przywidzeń, nocne strzelaniny stawały się coraz radsze, a pod koniec nawet ustały zupełnie.

Od chwili naszego przybycia do Milovic różne takie małe i duże złośliwości zdarzały się nader często, także ze strony ludności cywilnej, i momentami bywały dla nas wielce uciążliwe. Apogeum tego nastąpiło, gdy dokonano przecięcia wspomnianego wcześniej kabla energetycznego. Ponieważ zdarzyło się to w rejonie odpowiedzialności naszego batalionu, nasz „Stary”, pragnąc, by taki wypadek już się nie powtórzył w przyszłości, polecił żołnierzom zatrzymać ruch na przebiegającej obok nas drodze z Milowic do Zbožička, a gdy już zebrała się spora grupka ludzi jadących rowerami i samochodami, wałnęła do tubylców przemowę! Wyjaśnił zebrany, że jesteśmy Polakami, a nie Sowiecami i choć nie zamierzamy stosować żadnych działań represyjnych w stosunku do mieszkańców okolicznych osiedli z powodu przecięcia kabla, to jednak w przyszłości nie możemy więcej tolerować takich zdarzeń i prosimy, by się więcej nie powtórzyły. Wydaje się, że takie postawienie sprawy trafiło wszystkim zebranym do przekonania, gdyż od tamtej pory nieomal zupełnie ustały tego typu incydenty.

Nasi koledzy z 2 kompanii czołgów por. Antoniego (Tośka) Walczaka, rozlokowani po przeciwległej stronie pasa startowego, z nieukrywaną dumą prezentowali

nam ścianę kompanijnego namiotu, w której na wysokości około 60–70 cm nad ziemią widniały otwory po serii pocisków. Mówili, że jest to namacalna oznaka, iż łaskawy los stale czuwa nad nimi, gdyby bowiem dawka bromu dodawana systematycznie do codziennej żołnierskiej kawy okazała się mało skuteczna, to wszyscy śpiący w tym namiocie jak nic mieliby odstrzelone atrybuty męskości! A tak, dzięki zbawiennym skutkom czarnej kawy, ich męskość została ocalona.

Z czasem eskapady turystyczne, podejmowane w poszukiwaniu nowych, urozmaicających codzienność wrażeń, doprowadziły naszych wojaków do domku pilotów usytuowanego obok pasa startowego lotniska. Zwykle przebywali w nim piloci samolotów pełniących dyżury bojowe, ale w sytuacji, gdy czeskie samoloty przypięte były łańcuchami do ziemi, domek ten zaanektowali sojusznicy i odtąd stał się on całodobową siedzibą jakiegoś ważnego sowieckiego generała. Piloci czescy, którzy tu przed tym dyżurowali, posadzili na wiosnę wokół domku kwiaty i różne warzywa. Teraz zaś, pod koniec lata, warzywnik ten dostarczał wiele radości i satysfakcji naszym czołgistom, którzy ochoczo korzystali z obfitości rosnących tu pomidorów i ogórków. Nie spotkało się to jednak ze zrozumieniem sowieckiego generała, który nakazał wystawić przy domku wartę i odtąd każdy intruz traktowany był w sposób, nazwijmy to umownie – kategoryczny. Wówczas to nasi śmiałkowie postanowili kontynuować swoją eksplorację „bożych darów” pod osłoną nocy. Nie przewidzieli jednak, że czerwonooarmista stojący na warcie jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru, a dla takiego służbisty: „prikaz eto prikaz”! Gdy usłyszał najmniejszy choćby szelest budzący jego podejrzania i stwierdziwszy, że w pobliżu jest ktoś niepowołany, wykrzykiwał swoje: „stój!, parol!” (stój!, podaj hasło!), i jeśli natychmiast nie usłyszał żądanego hasła, wówczas bez wahania posyłał serię z kałacha w stronę, z której dochodziły go podejrzane odgłosy.

W tej sytuacji stanowczo zakazaliśmy naszym żołnierzom jakichkolwiek nocnych wypraw poza obręb obozowiska, nawet za cenę rezygnacji ze smakowitych pomidorów!

Kolejnym „rarytasem”, jaki sprawili nam bracia Czesi, było rozmieszczenie w pobliżu lotniska gigantofonów Tesli (olbrzymich kolumn głośnikowych ustawionych na słupach). Całodobowy, dość wąski repertuar, jaki przez nie nadawano, trudno było uznać za ambitny pod względem artystycznym. Krótko mówiąc, zaaplikowano nam „na okrągło”, przez 24 godziny na dobę, monotonne wycie psa! Był to zapewne element tzw. oddziaływania psychologicznego, mającego osłabić morale okupantów, czyli nasze. Po jednej dobie takiej emisji okazało się, że jej pomysłodawcy zupełnie nie trafili w nasze gusty, skutkiem czego utracili bezpowrotnie sprzęt nagłaśniający o niemałej przecież wartości.

Od pewnego czasu zaciekały nas dość głośne dźwięki dobiegające każdego wieczora z przeciwległej strony lotniska. Intrygowały nas one ogromnie, wszystko bowiem wskazywało na to, że są to odgłosy towarzyszące seansom filmowym organizowanym na świeżym powietrzu. Poprosiliśmy kolegów z tamtej strony pasa, by rozpoznali, co to u licha za zjawisko? Jeszcze tego samego dnia potwierdzili oni nasze przypuszczenia, a wiedząc o tym, że chamiejemy siedząc ciągle na tym polu kukurydzy, uzyskali także dla nas zaproszenie od sowieckich pilotów na wszystkie seanse filmowe, które dawało ich kino polowe. Kilkakrotnie, na ile tylko pozwalał nam wolny od służby czas, korzystaliśmy skwapliwie z tego zaproszenia.

Szczególnie utkwił mi w pamięci obejrany wówczas w wersji oryginalnej kostiumowy film z czasów wojen napoleońskich pt. „Ballada huzarska”.

Składając przy tej okazji wizyty sąsiadom zza pasa startowego, stwierdziliśmy, że standard ich obozowiska był na nieosiągalnym dla nas poziomie. Po prostu byli znacznie lepiej przygotowani do służby i bytowania w warunkach polowych.

Poznaliśmy tam także dwóch młodych pilotów myśliwskich, niezwykle sympatycznych i fajnych chłopaków. Po bliższym poznaniu okazali się wspaniałymi kompanami; przegadaliśmy wspólnie kilka wieczorów, oddając się przy tym konsumpcji zabronionych płynów (obowiązywała nas całkowita prohibicja). Jeden z tych pilotów pochodził z Petersburga (ówczesnego Leningradu), drugi zaś z Moskwy. I jak to bywa w czasie takich spotkań, gdy dopadają człowieka smutek i nostalgia, rozmowy schodziły zawsze na wspomnienia o rodzinnych stronach, pozostawionych w kraju najbliższych, dziewczynach i o tym, co nas jeszcze tu czeka. Tam, poza krajem, nabierało to zupełnie innego wymiaru. Myślę, że zrozumie to dobrze tylko ten, kto takie chwile przeżył. Nostalgia dopada wówczas każdego, nawet najtępszego „macho”.

Takie wspólne wspomnienia o najbliższych pozostawionych w kraju pozwalają jakoś utrzymać w ryzach nadwyreżoną, niekiedy nawet dość mocno, równowagę psychiczną.

Któregoś dnia po śniadaniu podszedł do mnie szef kompanii i zaproponował, bym się zabrał razem z nim, gdy będzie jechał z obiadem do mojej załogi przy posterunku radiolokacyjnym. *Coś tam u nich jest niezbyt wyraźnie, a po drodze pokażę ci coś ciekawego* – dodał.

Jazda z szefem jego wozem zaopatrzenia (GAZ-63) zawsze była dla mnie dużym urozmaiceniem, przerywającym monotonię codziennej służby: wreszcie oprócz zielonych mundurów można było ujrzeć świat zwykłych ludzi. Po załadowaniu termosów z obiadem i prowiantu na kolację wyruszyliśmy z obozowiska. Wkrótce dojechaliśmy do celu. Na powitanie dowódca czołgu złożył mi meldunek o stanie załogi i sprzętu oraz wypełnianych zadaniach ochrony obiektu stacji radiolokacyjnej, a także warunkach bytowych załogi, jej potrzebach itp. Po tym dokonałem lustracji wykonanego ukrycia dla czołgu i jego maskowania, a także innych detali związanych z bezpieczeństwem pobytu żołnierzy na tej oddalonej placówce. Po tych oględzinach pogadałem jeszcze z moimi chłopakami o tym, jak sobie radzą, co im doskwiera i jakiego potrzebują wsparcia. Wyczułem jednak, że jest coś jeszcze, o czym chcieliby ze mną pogadać. Okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła.

Z ich relacji wynikało, że dzielnie znosili dość trudne warunki na tej placówce i jedynie uskarżali się na to, że nocami nachodzą ich jacyś ludzie. By więc zapewnić bezpieczeństwo ochranianemu obiektowi i sobie, muszą systematycznie oświetlać teren za pomocą flar i stąd bierze się ich spore zużycie. W związku z tym proszą o zwiększenie przydziału wspomnianej amunicji oświetlającej. Obiecałem im, że dostaną wszystko, co potrzeba!

Przy okazji spotkałem się również z sowiecką obsługą stacji naprowadzania. Sojusznicy opowiadali o swoich codziennych sprawach, chwalać przy tym naszych czołgistów za to, że dobrze im się z nimi współdziała i zapewniając, że przy nich czują się całkowicie bezpieczni. Odparłem, że miło mi to słyszeć.

Dla uatrakcyjnienia mojego u nich pobytu zademonstrowali mi walory muzyczne przygarniętego bezpańskiego psa, który nie odstępował ich przez cały czas ani na krok. Zwierzak ten, cały w szaro-bure łaty, o szlachetnej sylwetce psa „wielorasowego” (na cześć ówczesnego czeskiego premiera nazwali go „Dubczek”), ilekroć któryś z żołnierzy wyjmował z kieszeni harmonijkę, natychmiast siadał obok niego i w skupieniu oczekiwał rozpoczęcia koncertu. Gdy zaś tylko usłyszał graną melodię, podnosił łeb i wył modelując głos, jak gdyby śpiewał arię operową. Pies – ulubiona maskotka żołnierzy – był przez nich niemożliwie rozpieszczany i widać było, że ta rola mu najwyraźniej odpowiada.

Po powrocie do obozu spotkałem por. Staszka Ryniaka, naszego starszego kolegę z poznańskiej podchorążówki, który w naszym pułku pełnił funkcję oficera kontrwywiadu. Nikt z kadry pododdziałów specjalnie nie darzył sympatią oficerów tej „branży” (ludzi z tzw. zmienną geometrią ucha), stąd też nie bardzo nawet miał z kim pogadać o normalnych ludzkich sprawach. Dla nas był on przede wszystkim pancernikiem, a to wystarczało za wszystkie inne rekomendacje. Był także naszym łącznikiem ze światem zewnętrznym, gdyż dysponując gazikiem i czasem, objeżdżał pododdziały pułku. Podrzucał nam przy tym trochę gazet z kraju i opowiadał o tym, co się dzieje na szerokim świecie, który przesłaniał nam kukurydziany „las”. Staszek zresztą chętnie zaglądał do naszego obozowiska, by choć chwilę powspominać dobre czasy spędzone w murach pancerniackiej alma mater. Przy okazji poprosiłem go, by zainteresował się ustaleniem źródła potencjalnego zagrożenia mojej załogi dyżurującej przy wysuniętym posterunku radiolokacyjnym. Obiecał pomóc, a za kilka dni, gdy znów do nas zajrzy, pewnie będzie już coś wiedział w tej sprawie. A tymczasem, zaprasza nas na obiad do kasyna w Milovicach, gdzie ma znajomych. Skorzystaliśmy więc skwapliwie z zaproszenia i w czwórkę wypuściliśmy się na „proszony” obiad. Po dotarciu do kasyna wypadło nam zaczekać jeszcze chwilkę w holu na otwarcie stołówki. Z zainteresowaniem rozglądałem się po otoczeniu; tyłu tak wysokich rangą oficerów, i to ze wszystkich armii UW jednocześnie, nigdy dotąd jeszcze nie spotkałem.

Moją uwagę przykuła niezbyt głośna, ale wzbogacona żywą gestykulacją rozmowa, którą prowadzili stojący przed drzwiami sali jadalnej sowiecki generał i czeski pułkownik. W pewnym momencie dotarły do mnie, wypowiedziane z wyraźną dezaprobatą słowa pułkownika: *Czesi przez sto lat nie zapomną wam (Sowietom) tego najazdu!* Na co sowiecki generał z jowialnym uśmiechem, tylko trochę przykrywającym arogancję w głosie, odparł: *Nie szkodzi, nie szkodzi, towarzyszu pułkowniku, to my pozostaniemy u was 105 lat!* Słowa te wzbudziły we mnie szczere współczucie dla stojącego obok ze zwieszoną głową czeskiego pułkownika, a także dla wszystkich jego rodaków – Czechów i Słowaków. Ogarnął mnie przy tym głęboki smutek, gdyż z pełną jasnością uświadomiłem sobie, w jakie wpuszczono nas bagno. Nie trzeba też uzasadniać, dlaczego niezbyt mi smakował posiłek, który już po chwili nam podano.

Po kilku dniach od naszego spotkania Staszek Ryniak zjawił się u nas ponownie i przekazał mi relację z „wyczynów” załogi czołgu posterunku przy stacji radiolokacyjnej. Otóż, okazało się, że skoro tylko zapada zmrok, moi waleczni czołgiści wyprowadzają wóz z okopu i najzwyczajniej w świecie, przy blasku rakiet oświetlających, urządzają sobie regularne polowania na bażanty. Ptaki te, żyjące tu licznie

na polach, były dotąd niezagrożone ze strony tubylców, gdyż odgrywały bardzo pożyteczną rolę – zwalczały mianowicie zagrażającą ziemniaczanym polom stonkę. Dotychczas nikt nie polował na nie, aż zjawili się nasi kłusownicy.

Przeczuwając, że sprawa ta może się skończyć potężnym skandalem, postanowiłem działać: wymieniłem załogę czołgu i obiecałem chłopcom, że jeśli wykręcą jeszcze raz podobny numer, to będą mieli skopane tyłki i zostaną „rozstrzelani” pod stajnią! Krótko, treściwie i po męsku! Tu mały suplement! Dla każdego „dekła”, czyli pancerniaka, informacja, że za niegodne uczynki może zostać rozstrzelany była czymś normalnym, zgodnym z kodeksem honorowym, ale już miejsce tegoż aktu – „pod stajnią” – to dyshonor i hańba!

Na początku września na uzupełnienie wakujących stanowisk w pododdziałach batalionu przybyli do nas z kraju oficerowie z ostatniej promocji. Do każdej kompanii czołgów przydzielono po jednym młodziutkim podporuczniku: Zdziśka Dudkę do 1 kcz, Jaśka Jankowiaka do 2 kcz i wreszcie Romka Ciołka – do naszej, 3 kcz. Z otoczenia wyróżniały ich pachnące nowością mundury polowe i nieskalane użytkowaniem żółte juchtowe buty, pasy główne, mapniki, kabury pistoletów, no i sztywne, o niezmanierowanych jeszcze kształtach czapki polowe, których *notabene* się bardzo wstydzieli (pancerniackie czarne berety otrzymali z magazynu pułkowego dopiero po powrocie do kraju). Po krótkiej prezentacji i wymianie kilku słów uznaliśmy, iż są to „swoje” chłopaki! Nowi dowódcy plutonów, spotkawszy się z tradycyjną sympatią oraz gotowością pomocy, szybko wrosli w otoczenie i dopasowali się do naszej pancerniackiej paczki. Nie bez znaczenia było też to, że ich przybycie znacznie ulżyło nam w codziennych obowiązkach, a przede wszystkim w pełnionych „na okrągło” służbach. Umożliwiło więc przeznaczenie więcej czasu na sprawy osobiste (np. pisanie tęsknych listów do pozostawionej zaraz po ślubie młodziutkiej żony czy też życie towarzyskie w obozowisku lub wypadu poza jego granice).

Po pewnym czasie atmosfera w Czechosłowacji, a także życie w naszym obozowisku zaczęły się stabilizować. Okazało się, że nasze początkowe obawy o to, że możemy być uczestnikami starć zbrojnych, na szczęście nie się sprawdziły. Czesi doskonale wiedzieli, że nie są w stanie w jakikolwiek sposób przeciwstawić się tak miazdzącej przewadze (liczebnej i sprzętowej) wojsk okupacyjnych. Stosowali więc jedynie bierny opór wszędzie tam, gdzie było to możliwe i uzasadnione, unikając wszakże dawania powodów do aktów brutalnej przemocy i dotkliwych represji, głównie ze strony wojsk sowieckich, które traktowały swą tu obecność jak okupację podbitego kraju! Zapewne z tego też powodu Czesi pogodzili się bez szemrania z zarządzeniami władz okupacyjnych, zmierzającymi do pozbawienia zdolności bojowej ich jednostek wojskowych (uziemione samoloty, pozbawione iglic zamki armat czołgowych, zablokowany w koszarach pozostały sprzęt bojowy itp.). Mimo to starali się utrzymać choćby pozory swej niezależności i normalnego funkcjonowania. Poniżenia na niwie polityczno-militarnej pragnęli Czesi zrekompensować wzmożonym udziałem swoich „vojaków” w życiu gospodarczym kraju. Co dnia wyjeżdżały więc z ich koszar całe kolumny ciężarówek wiozących żołnierzy do prac polowych (np. zbioru ziemniaków i innych płodów rolnych).

Monotonia służby doskwierała także i naszym żołnierzom. Należało szybko znaleźć antidotum na ogarniającą ich apatię. Z obawy, by nie zaczęli nam w końcu

z nudy fiksować, poczęliśmy im aplikować różne prace porządkowo-konserwacyjne przy sprzęcie, regularnie czyszczenie broni; prowadziliśmy też pogadanki „odgłupiające”. Oficerowie zaś poza służbą szukali rozrywki w grze w karty, szachy, warcaby. Najpopularniejszy był brydz i poker. Niejednemu poczynały drżeć ręce z emocji, gdy na stoliku pula w banku dochodziła niekiedy do wysokości miesięcznej oficerskiej gaży! Rozrywki te nie pociągały mnie jednak wcale i poczęłem szukać sobie jakichś innych, bardziej odpowiadających mi zajęć. W spokojniejszych chwilach podczas służby oficera dyżurnego zgrupowania, oprócz słuchania radia, oddawałem się także szczególnie absorbującemu zajęciu, jakim było liczenie pojazdów jadących w składzie kolumn taborowych przemieszczających się drogą obok naszego obozowiska. Każdego dnia sunęły one nieprzerwanym potokiem, wioząc setki ton zaopatrzenia dla jednostek sowieckich rozlokowanych w Czechosłowacji. Zarówno Sowieci, jak i pozostałe jednostki wojsk interwencyjnych UW tu, na miejscu korzystały jedynie z ujęć wody pitnej. Całe zaś pozostałe niezbędne do życia i funkcjonowania wojsk okupacyjnych zaopatrzenie dowożono samochodami lub transportem lotniczym z baz zaopatrzenia w macierzystych krajach. Transportowano więc samochodami paliwo, żywność, opał, środki higieny, a także części zamienne do pojazdów i urządzeń oraz inne środki zaopatrzenia kwatermistrzowskiego i technicznego. Moje największe zainteresowanie budził właśnie skład tych kursujących wahadłowo kolumn transportowych. Ciężarówki wszelkich marek i przeznaczenia, wyprodukowane w ówczesnym Związku Sowieckim, przez cały dzień, aż do późnej nocy, sunęły mozolnie po czeskich pagórkach, utrzymując średnie tempo marszu około 30–40 km/godz. Swymi papuzimi barwami (żółte, szare, niebieskie, czerwone, seledynowe itp.) przypominały tabor cygański lub kolumny wozów wesołego miasteczka. Były to bowiem pojazdy zmobilizowane z różnych zakładów pracy oraz kołchozów i sowchozów z obszarów zachodniej Ukrainy i Białorusi. Jedynym wyróżnikiem świadczącym o ich przynależności do armii były wojskowe numery rejestracyjne prowizorycznie wymalowane na burtach skrzyń ładunkowych. Swym wyglądem odróżniały się one wyraźnie od pojazdów wojskowych malowanych w jednolite barwy ochronne (khaki). Kierowcami tych ciężarówek byli chyba jeszcze weterani II wojny światowej. Odziani byli w ocieplane kurtki (tzw. waciaki) i wchodzące do wysokich kierzowych butów spodnie, które nie miały bliżej określonej barwy. No i nie rozstawali się nigdy ze swymi kałachami. Prawie wszyscy nosili fantazyjnie podkręcone wąsy, a spod zsuniętych zawadiacko na bakier furazerek z czerwoną gwiazdą wymykały im się niesfornie, łącie po kozacku, kosmyki włosów. Ich wygląd sprawiał nieodparte wrażenie, że to partyzanci, a nie żołnierze regularnej armii.

Gdy kolumna przystawała czasem na chwilę, wówczas „stariki” (wiarusy), jak ich nazywano, wysiadali z pojazdów, nieśpiesznie wyciągali z kieszeni papierosy, zaginali wprawnym ruchem tutki ustników i przypalali swoje kazbeki czy białomory, rozkoszując się aromatem wypuszczanego z ust lub przez nos tytoniowego dymu. Zapytani o coś, odpowiadali śmiało, z charakterystyczną dla Rosjan lapidarnością, żartobliwie i ze swadą.

Następnego dnia po rozładunku w miejscach przeznaczenia, kolumny te ciągnęły znów całymi godzinami, lecz tym razem w odwrotnym kierunku. Co ciekawe, w kolumnach jadących bez ładunku stosowano wówczas spinanie pojazdów, tworząc

w ten sposób dwuczęściowe zestawy jezdne: na skrzyni ładunkowej ciężarówki, odgrywającego rolę ciągnika, mocowano przednią oś pojazdu holowanego. W ten oto prosty sposób oszczędzano paliwo, ale i dawano możliwość wypoczynku połowie kierowców tej kolumny.

Skrupulatnie licząc (nie uwzględniałem tu czeskich i innych pojazdów wojskowych w ruchu lokalnym), dochodziłem w swych rachunkach zwykle do liczby około 1,2–1,5 tysiąca pojazdów przemieszczających się w kolumnach transportowych w ciągu doby w jedną stronę. Gdy zaś w swych rachunkach doszedłem powyżej tej liczby, natychmiast przerywałem dalsze liczenie samochodów, obawiając się napadu choroby umysłowej!

Nasz dowódca pułku, ppłk Stefan Włodarczyk, zapalony, aczkolwiek niezbyt skuteczny szachista, szukając partnera do gry, w wolnych chwilach zapraszał czasem wybranych oficerów (niekiedy także i mnie) do swego autobusu sztabowego, gdzie regularnie dostawał tęgie lanie. Ja z tym jednak nigdy nie przesadzałem, ponieważ po pierwsze uważałem, że nie wypada sprawić „łażnię” swemu dowódcy pułku (chodziło tu przecież o prestiż – jak go nazywaliśmy – „wodza”), po drugie zaś towarzyszyła mi zawsze świadomość, że nazbyt łatwe i szybkie zwycięstwa zawsze prowadzą do utraty partnera. Może byłem takim trochę przecherà, ale lubiłem wpadać czasem do „wodza” na te „szaszki”, na prawdziwą kawę i na takie tam luźne pogaduchy, czyli tzw. filozoficzne dywagacje. Pułkownik, w wieku około pięćdziesiątki, swój żołnierski rodowód wywodził z jednostek powietrzno-desantowych (ostentacyjnie nosił zawsze czerwony beret), o czy zresztą nigdy nie omieszkął napomykać w niemal każdej rozmowie. Prawdopodobnie służąc dotychczas w wysokim sztabie, został skierowany do odbycia stażu w jednostce liniowej i stąd jego obecność w naszym pułku. Praktyka ta nie wypadła mu jednak zbyt fartownie: najpierw wyjazd do Czechosłowacji, a po powrocie do kraju pechowa seria wypadków nadzwyczajnych, które wpłynęły decydująco na skrócenie czasu jej trwania. Pułkownik zawsze był pełen fantazji i wigoru, miał jeszcze wiele animuszu, niespożytej energii i dobrych intencji. Mimo swych niejednokrotnie szalonych pomysłów był lubiany przez kadrę i żołnierzy pułku. Wspominam go z sympatią, bo w sumie okazał się przyzwoitym człowiekiem. Wydaje się, że zabrakło mu jednak tego, co Napoleon nazywał żołnierskim szczęściem.

Któregoś dnia wybuchła w obozie okrutna afera spowodowana skargą miejscowych władz, że polscy żołnierze pustoszą aleje przydrożnych drzew owocowych. W Czechosłowacji pobocza dróg obsadzano zwykle drzewami owocowymi, najczęściej śliwami. Daje to latem miły cień, a także wymierną korzyść w postaci surowca do produkcji sławnej czeskiej śliwowicy. A tu masz, okupanci ogołocili drzewa z owoców! By zrobić z tym porządek, przysłano dostojnika z wysokiego sztabu, który zaraz po przybyciu do naszego zgrupowania uczynił straszny raban. Nakazał ustalenie winnych oraz surowe i przykładne ich ukaranie. Gdy zaś nasz dowódca batalionu stanowczo zaoponował przeciw krzywdzącym oskarżeniom, dostojnik ów zarządził wizję lokalną, by ustalić wielkość spowodowanych szkód. Ale nasz „wódz”, stary wyga, widocznie przewidując taką sytuację, już znacznie wcześniej zabronił żołnierzom zrywania owoców z przydrożnych drzew na całej długości stojącej przy nich kolumny naszych czołgów, a nawet dalej – 50 m przed jej czołem i tyleż za ogonem. Rygorystycznie też ów zakaz egzekwował, ostrzegając nas, że

każdy stwierdzony przypadek niesubordynacji grozi jego sprawcy tradycyjnym już „rozstrzelaniem pod stajnią”!

Tymczasem piana, która toczyła się z ust dostojnika ze sztabu dywizji sięgała już prawie kolan. „Stary” więc czym prędzej zawiódł go w miejsce, gdzie stała kolumna naszych wozów, by naocznie mógł się przekonać o niezwykle lojalnej postawie czołgistów wobec tutejszych producentów śliwowicy. Zastany widok był budujący! Wzdłuż kolumny czołgów i na jej obu końcach przechadzali się wartownicy, którzy na widok dostojnego gościa oddali należne honory wojskowe i dalej, z przejęciem i głębokim przekonaniem o ważności swej misji, pełnili sumiennie swe obowiązki, chroniąc przed bliżej nie określonymi intruzami owoce na drzewach, a przy okazji, strzegąc też czołgi.

Oficer ze sztabu dywizji dokładnie zlustrował strzeżony odcinek drogi, na którym przez cały czas naszego tu pobytu, jak zapewniał go „Stary”, nie zginęła ani jedna śliwka! Ponadto dowódca warty złożył mu meldunek, z którego wynikało, że w dniu dzisiejszym, podczas zmiany wart, przekazaniu podlegało 16 drzew z owocami i 87 sztuk śliwek ze spadów, co odnotowane zostało w „Dzienniku pełnienia służby wartowniczej”. „Starego”, co było widoczne gołym okiem, wprost rozpiełała dumą z takiego sposobu rozwiązania nabrzmiałego i wielce drażliwego, a co więcej – międzynarodowego konfliktu w sprawie śliwek. Dostojnik ze sztabu, zorientowawszy się zaś, że uprawiamy oczywistą „szwejkologię” (czyli „robimy go w bambusa”), trzasnął drzwiczkami gazika i odjechał zawiedziony, iż jego misja, z braku dowodów winy, nie znajdzie odpowiednio nagłośnień finału.

Aleja wysadzana śliwami, przy której stały nasze czołgi, miała kilka kilometrów długości, stąd też nasi chłopcy nigdy nie cierpieli na awitaminozę, pomimo iż żołnierska kuchnia z rzadka tylko serwowała im owoce przywiezione, jak zresztą całość zaopatrzenia, z kraju. Później, już po powrocie do kraju, zdarzało się naszym czołgistom jeszcze wyciągnąć z przepastnych czeluści naszych wozów smakowite śliwki spod Zbożička. Wspominaliśmy je zresztą jeszcze długo, a szczególnie te, pochodzące z drzew odległych o kilkaset metrów od naszych czołgów.

Z owocami kojarzy mi się także jeszcze inne miłośne wspomnienie, którego sprawcami i sponsorami byli nasi przesympatyczni towarzysze broni – Bułgarzy, stacjonujący nieopodal Milovic. Otóż, któregoś dnia zawitała w gościnę do sztabu naszego pułku ekipa złożona z kilku oficerów armii bułgarskiej. Jednego z nich, kapitana z pułku piechoty zmotoryzowanej, gościliśmy nawet w naszym obozowisku, gdzie przy żołnierskim obiedzie nagadaliśmy się do syta o różnych zwyczajnych ludzkich sprawach. Bariera językowa prawie nie istniała, wszyscy bowiem wówczas w miarę gładko mówiliśmy po rosyjsku. Bułgarski oficer opowiadał nam o swoim kraju, o problemach, z którymi borykają się w nim ludzie każdego dnia. Kiepska jakość jego munduru i wyposażenia (pas, furażerka, buty, kabura pistoletu itp.) potwierdzała, że Bułgaria nie jest bogatym państwem, że ludziom żyje się tam ciężko. Bułgarski oficer na dowód otwartości i serdeczności, z jaką darzą Bułgarzy swych braci Słowian, ofiarował nam cały kontener samochodowy winogron przywiezionych ze swego kraju specjalnie dla nas. Rozczulił nas tym do łez. Nigdy w życiu nie zjadłem jednorazowo takiej ilości tych wspaniałych, owoców. To był niewątpliwie bardzo konkretny, smakowity i długo przez nas później wspomniany przejaw polsko-bułgarskiego braterstwa broni.

Bywały jednak chwile, które nie zapisały się aż tak dobrze w naszej pamięci. Któregoś dnia, gdy po zakończonych służbach i dyżurach zwlekliśmy się wreszcie na odpoczynek do namiotów i każdy zajął się prozaicznym porządkowaniem swego osobistego „gospodarstwa” (pranie skarpetek, czyszczenie obuwia, oporządzenia itp.), nagle dobiegły nas okrutne złorzeczenia i przekleństwa rzucone pod adresem „czarnych i zakazanych pysków czołgistów”! Były także jeszcze inne, bardziej paskudnie brzmiące epitety. Wychyliliśmy więc głowy spod płacht namiotowych ciekawi, kto w środku obozu pancerniaków miał odwagę tak nas „obsobaczyć”!?

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że ta kloaka płynęła z ust przybyłego nieoczekiwanie dowódcy naszej dywizji płk. Jerzego Górala! Jego służbowa warszawa, nieprzystosowana do jazdy w terenie, gdy przejeżdżała przez nasze obozowisko w drodze do sztabu pułku, utknęła w głębokich koleinach polnej drogi. I to właśnie była przyczyna, iż pułkownik uwięziony w drogowej pułapce, wysiadłszy z wozu, całą swą złość wylał na nasze, Bogu ducha winne pancerne głowy. Oficer dyżurny zgrupowania, spostrzegłszy przybycie przełożonego do obozu, nie bacząc na jego rozsierdzenie, dziarskim krokiem podszedł do pułkownika, by zgodnie z regulaminem i wojskowym obyczajem powitać przełożonego i złożyć mu stosowny meldunek. Niestety, pojawienie się oficera dyżurnego jeszcze bardziej rozeźliło dowódcę dywizji, który teraz cały swój gniew skupił na tym Bogu ducha winnym chłopaku. Gdy pułkownik w swym niepohamowanym zacietrzewieniu nie dał mu nawet dojść do słowa, oficer dyżurny, reagując na ten niepoczytalny wybuch złości, odwrócił się na pięcie i po prostu odmaszerował, zostawiając krzykacza samego na polnej drodze. Pomimo tych wulgarnych i obrażających nas epitetów postanowiliśmy przeczekać w namiotach ten atak furii, którego prawdziwych przyczyn nietrudno było się domyślić – cóż, od alkoholu niektórzy, niezależnie od stopnia i stanowiska, dostają małego rozumu.

Nie zamierzaliśmy jednak puścić w niepamięć tego incydentu, po którym czuliśmy się obrażeni i upokorzeni przez bądź co bądź naszego wysokiego rangą przełożonego. Sprawa ta miała tym poważniejszy wydźwięk, że dotyczyła obecnych wtedy w obozowisku wszystkich oficerów, chorążych, podoficerów i żołnierzy batalionu czołgów. W obozie zawrzało wówczas jak w ulu. Niestety, przypadki poniżania godności osobistej podwładnych zdarzały się wtedy dość często, ale to zdarzenie, nawet jak na tamte czasy miało charakter i posmak niebywałego skandalu. Nigdy dotąd ani też w późniejszych latach swej służby nie spotkałem się z podobnie przykrym, oburzającym i pożałowania godnym incydem. Broniąc naszej oficerskiej i żołnierskiej godności, musieliśmy na to jakoś zareagować. Złożyliśmy więc oficjalną pisemną skargę na ręce naszego zastępcy dowódcy batalionu ds. politycznych, który miał ją przekazać bezpośrednio (z pominięciem drogi służbowej) gen. Siwickiemu, dowódcy naszej 2 Armii.

Gdy wiadomość o tym dotarła do dowódcy dywizji, natychmiast przysłał do nas swoich ludzi, by sprawę uładzili i zagłaskali. Przybyli do nas wysłannicy tłumaczyli zachowanie płk. Górala tym, że owego nieszczęsnego dnia był on wyjątkowo poirytowany różnymi trudnymi problemami i stąd ten napad wściekłości, bo tak na co dzień, to on jest przecież bardzo ludzki, dusza człowiek, kocha swoich żołnierzy itp. itd. Ludzie płk. Górala dotąd nas nachodzili i namolnie molestowali, aż w koń-

cu niektórzy z naszego grona ulegli i sprawa się jakoś rozmyła. Nie doczekaliśmy się więc ani wyciągnięcia jakichkolwiek konsekwencji służbowych w stosunku do tego ordynarnego osobnika, ani tym bardziej jakichś honorowych przeprosin z jego strony. Od tej pory nasz przełożony nie mógł liczyć na nasz szacunek.

Niebawem epilog do tego incydentu dopisało samo życie. Po powrocie do kraju jego negatywnego bohatera najwyraźniej opuściło żołnierskie szczęście. Podczas kontroli przeprowadzonej przez Inspekcję Sił Zbrojnych podległe mu jednostki otrzymały ocenę niedostateczną! Musiał więc nasz „bohaterski wódz” w niesławie pożegnać się z naszą 4 Dywizją, a tym samym z marzeniami o generalskich wężych i lampasach, o które zresztą tak usilnie zabiegał.

Pewnej nocy wyrwała nas ze snu strzelanina, której odgłosy dochodziły spoza pola kukurydzy. Zerwaliśmy się na równe nogi i biegiem dopadliśmy przygotowanych wcześniej ukryć, by móc odeprzeć niespodziewany napad nieokreślonego bliżej przeciwnika! Czołgi dyżurne były już w gotowości do odparcia ataku, a celowniczy, obracając wieżami, lustrowali przez celowniki cały teren wokół zgrupowania. Karabiny maszynowe wymontowane z wozów i ustawione w okopanych wysuniętych czat również gotowe do otwarcia ognia. Nagle strzelanina ucichła. Dopiero po upływie około godziny otrzymaliśmy informację telefoniczną, że nastąpił „odbój”, ale noc niestety mieliśmy już z głowy!

Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że incydent ten sprowokował nasz waleczny kolega, ppor. Adaś Grabarczyk z 2 batalionu piechoty. Jako dowódca plutonu szkolnego postanowił zorganizować dla elewów pułkowej szkoły podoficerskiej zajęcia z taktyki nt. „Pluton piechoty w natarciu w nocy”. Zapomniał jednak o tym, lub może raczej nie przewidział tego, że poruszanie się nocą w terenie, gdzie pełno było rozstawionych wart i posterunków ochronnych z różnych jednostek i pododdziałów rozlokowanych wokół lotniska, w dodatku posiadających ostrą amunicję, może mieć skutki nieobliczalne. W czasie tych „kajzermanewrów” natknął się na czatę z baterii haubic naszego pułku, która spostrzegłszy jakąś czeredę skradającą się po krzakach i polu kukurydzy, dała po prostu ognia! Szczęściem obyło się bez ofiar. W konsekwencji zaś nasz domorośły Napoleon otrzymał od przełożonych surową reprimendę i zakaz prowadzenia takich nocnych batalii!

Nie spostrzegliśmy się nawet, jak na wypełnianiu codziennych rutynowych czynności nadszedł czas długo oczekiwanego, lecz jakże krótkiego, zaledwie 3-dniowego urlopu (tzw. kominowego). Gdy nadeszła już moja kolej, zameldowałem się wraz z innymi w ustalonym miejscu zbiórki, skąd dywizyjny autokar zawiózł nas do macierzystego garnizonu w Krośnie.

Pomimo wspaniałych widoków całą tę drogę do kraju przebyłem z duszą na ramieniu. Siedząc teraz bezpiecznie w autokarze, z nosem przyklejonym do szyby, przemyślałem nad możliwością pokonania czołgami wszystkich tych niezwykle trudnych odcinków trasy. Droga ta aż do Jičina przebiegała przez dość silnie pofałdowane grzbiety południowej części Karkonoszy, wijąc się setkami zakrętów i obfitując stromymi zjazdami i podjazdami. Wiele też było na niej karkołomnych stoków i przepaści, rozpoczynających się tuż przy krawędzi wąskiego pobocza drogi. Do dziś nie mogę pojąć, w jaki sposób pokonaliśmy tę trasę czołgami w nocy? Jak to było możliwe, że żaden z czołgów nie stoczył się w przepaść? Najpewniej czołgiści, tak śmiało i bez wahania wykonujący karkołomne manewry po to, by wyprzedzić

stojące na poboczu uszkodzone wozy czy inne zawalidrogi, nie zdawali sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa.

Ponieważ nie otrzymałem jeszcze kwatery służbowej w swoim garnizonie, tj. w Krośnie Odrzańskim, po drodze przesiadłem się do pociągu jadącego do Poznania, gdzie wreszcie mogłem zobaczyć się z żoną. Po raz pierwszy od ślubu! W jej rodzinnym domu zjawiłem się w mundurze polowym, ortalionowej kurtce czołgisty i czarnym berecie, z pistoletem przy pasie, torbą polową i innymi detalami wyposażenia osobistego oficera w warunkach polowych. Po gorącym powitaniu żona wyznała mi, że mój strój wprowadził ją w szok. Tłumaczyłem się tym, że w końcu przyjechałem do niej, tylko na parę chwil, a nie miałem ze sobą do przebrania stosownego munduru wyjściowego czy też ubrania cywilnego.

Pragnąc umilić nasze spotkanie, żona zaproponowała mi wspólne wyjście do kina na dość głośny wówczas film Michelangelo Antonioniego pt. „Czerwona pustynia”. Uległem więc namowom żony i wybraliśmy się najpierw na spacer, a później do kina. Tak więc, niejako z konieczności – choć czułem się w tej sytuacji niezbyt komfortowo – wypuściłem się na miasto w mundurze polowym. Trzeba w tym miejscu dodać, że w owych czasach spotkanie na mieście oficera w takim stroju było raczej rzadkością, stąd też wszędzie tam, gdzie się pojawiłem, towarzyszyło mi zainteresowanie, dodam, że niestety nie zawsze życzliwe, z czym czułem się nieszczęśliwie. Wyczuwało się, że społeczeństwo Poznania niezbyt przychylnie odnosiło się do całej tej zbrojnej eskapady do kraju południowych sąsiadów, czego namacalnych dowodów dane mi było właśnie doświadczyć.

Gdy zajęliśmy miejsca w fotelach i rozpoczął się seans, co jakiś czas, gdzieś z tyłu dobiegał mnie głos, niczym syk węża, powtarzający ciągle jedno słowo: „okupant”! Wprawdzie zdążyłem już przyzwyczaić się do różnego rodzaju kierowanych pod moim adresem inwektyw i impertynencji, ale w scenerii kina i to we własnym kraju, w dodatku w obecności mojej żony było to dość nieprzyjemne i irytujące. Starałem się jednak nie zwracać na to uwagi, a tym bardziej nie reagować na zaczepki słowne rzucane przez kogoś skrywającego się w ciemnościach. Gdy skończył się seans i na widowni zapaliły się światła, zapragnąłem jednak spojrzeć w oczy człowieka, który w ten oto sposób pragnął zamanifestować przedstawicielowi wojsk okupacyjnych w Czechosłowacji postawę prawdziwego, przepojonego patriotyzmem opozycjonisty. Gdy skierowałem wzrok w stronę, z której dobiegały przytoczone wyżej słowa, niestety zobaczyłem tylko plecy bohaterskiego młodzieńca, czmychającego ku wyjściu skokami przez fotele, niczym rączy jeleni.

No cóż, przynajmniej, że chłopak ten cel swój chyba osiągnął, bo mile zapowiadający się wieczór miałem już zepsuty do końca. Wydawało mi się, że właśnie mieszkańcy tego miasta, ze względu na nieodległe przecież w czasie wypadki poznańskie, powinni być najbardziej świadomi niezwykle trudnej misji, jaką przyszło wypełnić polskim żołnierzom w czasie działań interwencyjnych w Czechosłowacji. Przecież byliśmy ich synami, mężami i braćmi; czuliśmy i myśleliśmy tak samo, jak oni. Nie pojechaliśmy tam przecież na własne życzenie, jak na majówkę, lecz z woli przywódców politycznych, zresztą tej samej orientacji co ci, którzy w czerwcu 1956 r. „zafundowali” poznaniakom krwawą łaźnię! A będąc już tam, przynajmniej chcieliśmy udowodnić, że Czesi i Słowacy, bez względu na to, co wydarzyło się kiedykolwiek w historii stosunków naszych narodów, są nadal naszymi przyjaciółmi,

a my bynajmniej nie traktujemy naszej misji jak działań okupacyjnych w podbitym kraju! Wydaje mi się jednak, że subtelności te znacznie szybciej pojęli sami Czesi z terenów, na których stacjonowały jednostki Wojska Polskiego, niż ówczesni opozycjoniści w naszym kraju.

Urlop minął mi niepostrzeżenie i po łzawym pożegnaniu z żoną i jej rodziną trzeba było wracać do szarej służbowej codzienności w Milovicach. Pociągiem dotarłem do Krosna, a tu czekał już na nas autokar wyładowany dodatkowo po brzegi różnymi skrzynkami i paczkami, które, jeśli wierzyć znajdującym się na nich napisom, zawierały różnego rodzaju dokumenty i materiały biurowe *niezbędne do funkcjonowania sztabów i wojsk w warunkach polowych*. Dziwne wydało mi się tylko to, że na każdym ostrzejszym zakręcie z paczek tych dochodziły dźwięki sugerujące, że ich zawartość jest jednak zgoła inna!?

Po dotarciu autokaru do sztabu dywizji rozjechaliśmy się niezwłocznie do swych macierzystych pododdziałów. Chwilę po tym jak przywitałem się z chłopakami z mojej kompanii, z gwałtownie hamującego pod moim namiotem gazika wyskoczył jakiś „sztabownik” i zrobił mi awanturę o to, że zaraz po wyjściu z autokaru nie poddałem się kontroli mającej ustalić, czy ktoś z powracających z urlopu nie przywoził tu przypadkiem alkoholu! Pomyślałem wówczas: jak nazwać takie postępowanie i traktowanie nas, w aspekcie domniemanej zawartości skrzynek w autokarze? Nie inaczej, jak tylko obłuda!

Trudno było jakoś pozbierać się po tym urlopie, ale codzienny rytm służb w kompanii oraz rozliczne dodatkowe obowiązki i dyżury szybko sprowadziły mnie ponownie na ziemię. Trzeba było zapomnieć o miłych chwilach spędzonych z żoną i powrócić do trawienia goryczy kolejnych „miodowych” miesięcy bez rodziny i poza krajem.

Tymczasem sytuacja w Czechosłowacji ustabilizowała się i wyjaśniła na tyle, że nasze dowództwo w trosce o to, byśmy się przypadkiem sami nawzajem nie pozabijali, nakazało całą posiadaną przez nas amunicję do broni strzeleckiej zdeponować i przechowywać pod zamknięciem. Była to zapewne konsekwencja kilku wypadków nadzwyczajnych z użyciem broni, spowodowanych przez żołnierzy WP, o których to zdarzeniach docierały do nas wieści jedynie pocztą pantoflową. Opróżniliśmy więc magazynki naszych karabinków – rozkaz to rozkaz! Cóż to jednak za wojenka, na której żołnierze mogą używać swej broni tylko w charakterze maczug lub straszaków!/? Gdyby chociaż wydano nam pistolety na wodę, byłoby przynajmniej wesoło.

Tymczasem sytuacja w Czechosłowacji stała się na tyle stabilna, że nasi krajowi notable mogli już zupełnie bezpiecznie poruszać się po drogach tego kraju, bez potrzeby angażowania eskorty transporterów opancerzonych. Poczęli więc nas gremialnie nawiedzać, zapoczątkowując tym samym okres wizytowania wojsk okupacyjnych. Czynili to zapewne po to, by pokazać jak nas kochają i troszczą się o swoich dzielnych żołnierzy. Przypominam sobie, że jedną z takich wizyt (przygotowywano ją „zaledwie” przez tydzień) złożył nam także gen. Józef Urbanowicz, ówczesny wiceminister obrony narodowej. Do naszego obozowiska generał przybył wraz ze swiątą wysokiej rangi przedstawicielei partii i rządu, a także władz województwa zielonogórskiego. Szacowni goście wspięli się na prowizoryczną trybunę zaimprovizowaną z przyczep samochodowych i stali się głównymi celebrantami

zaaranżowanego małego „wiecu przyjaźni”. Z trybuny padały pod adresem żołnierzy słowa uznania i wdzięczności oraz zapewnienia o *trwałej pamięci naszych dokonania podczas udzielania Czechosłowakom bratniej pomocy dla umocnienia nierozrwalnej więzi łączącej państwa naszego obozu*. Podobnie brzmiących, patetycznych słów padło tam znacznie więcej. Używając żołnierskiego języka, było to zwyczajne „ducie trupy”.

My zaś, stojąc od kilku godzin ustawieni pododdziałami w czworoboku, cierpliwie czekaliśmy na wręczenie nam przywiezionych z kraju upominków. Były to, w co głęboko wierzę, dary ofiarowane z głębi serca przez dzieci z przedszkoli, młodzież szkolną, rodziny żołnierzy, a także załogi zakładów pracy, biur itp. Dla nas każdy taki dowód pamięci: rysunek dziecka, laurka czy też maleńki notesik z załączonym ołówkiem, haftowana chusteczka bądź list matki synów, którzy zginęli podczas ostatniej wojny – miał wymowę symbolu i traktowaliśmy te drobne upominki z najwyższą czcią, niczym relikwie. Zgoła inny stosunek do tych darów mieli panowie z generalskiej eskorty, która je tu dowiozła śmigłowcem. Tuż przed rozpoczęciem imprezy panowie ci (tzw. sztabownicy-szabrownicy) dokonali na naszych oczach „selekcji” tych suvenirów. Niczym hieny rzucili się na złożone pośrodku placu worki z upominkami. Plądrując je, wyciągali co bardziej łakome kąski, fundowane przez zasobniejszych sponsorów, jak np. odbiorniki tranzystorowe, komplety wiecznych piór, zegarki. Zapewne uważali, że rarytasy te przeznaczono są dla lepszych, niż ci tam, stojący karnie w szeregach rozstawionych wokół placu. Nie zauważyłem, by w jakikolwiek sposób krępowało ich to czy też, by odczuwali choćby najmniejsze zażenowanie naszą – oficerów i żołnierzy pułku obecnością. A przecież upominki te zostały przywiezione dla nas! Zdegustowany i zażenowany tym widowiskiem nie wiedziałem co z zawstydzenia mam począć i jak tę scenę powinien skomentować patrzącym mi w oczy podwładnym? Dziś z pewnością na taki widok zareagowałbym inaczej: wydałbym swoim pancerniakom komendę do opuszczenia miejsca tego żałostnego widowiska i zarządziłbym powrót do naszego obozu. Żałuję, że wtedy na to się nie zdobyłem.

Po części oficjalnej: przemowach i wręczeniu żołnierzom tego, co tam jeszcze w tych przetrzebionych workach pozostało, pan generał pragnąc zrobić dobre wrażenie, postanowił odwiedzić obozowisko pancerniaków i pokazać, jak bliskie są mu problemy życiowe szarej żołnierskiej masy. Przeprowadzono więc generała wzdłuż kolumny stojących czołgów, zapoznając go przy okazji z warunkami bytowania żołnierzy w polu, aczkolwiek płacht uniemożliwiających wgląd do naszych namiotów na wszelki wypadek nie odślonięto. Generał dostrzegł jednak, że przy jednym z wozów załoga pracuje przy usuwaniu wycieku oleju z przedziału silnikowego. Nie bacząc na ewentualne konsekwencje estetyczne tego gestu („czarny lud” był dosłownie czarny od smarów), obywatel generał przywitał się, podając dłoń każdemu żołnierzowi tej załogi, zadał im także górnołotnie sformułowane pytanie o coś, czego pochodzący ze Śląska chłopcy nawet nie bardzo zrozumieli. Na pożegnanie przekazał jeszcze życzenia rychłego i szczęśliwego powrotu do kraju po zakończeniu powierzonej nam przez partię i rząd misji, po czym oddalił się dyskretnie na ubocze. Kątem oka ujrzałem, jak delikatnie, dwoma palcami, wyjął z kieszeni swego ślicznego galowego munduru nieskazitelnie białą chusteczkę i wytarł nią ubrudzoną smarem dłoń, nieopatrnie podaną czołgistom w geście powitania, po

czym, rozejrzawszy się dyskretnie wokół, sprawdzając, czy nie jest obserwowany, wyrzucił chusteczkę, jakby mimochodem, do przydrożnego rowu. Gdy już się nieco oddalił, chłopcy z lustrowanej przed chwilą załogi rzucili się po generalską chusteczkę z taką determinacją, jakby chodziło o jakiś skarb. Po chwili zobaczyłem, jak zwycięzca tego wyścigu – dumny jak paw działonowy Kuncel, rodem z Rudy Śląskiej – w triumfalnym geście unosi swą zdobycz na patyku, opatrując rzecz całą komentarzem: *O pierooooonie!, takiej białej żech nigdy jeszcze nie miał! Bierymy na pamiątkę, ni chopy?!*

Od dawna mieliśmy ochotę przyjrzeć się z bliska wzbudzającym naszą ogromną ciekawość śmigłowcom transportowym rozstawionym wzdłuż pasa startowego. Gdy wreszcie się taka okazja nadarzyła, piloci tych „wiertolotów” przywitali nas sympatycznie i serdecznie, po żołniersku. Gdy zaś dowiedzieli się, że to nasze czołgi stanowią ich bezpośrednią ochronę na lotnisku, temperatura spotkania ociepliła się jeszcze bardziej i zaproszono nas nawet do obejrzenia wnętrza maszyn. Mile nas to zaskoczyło, gdyż dotychczas nasi sojusznicy nie mieli zwyczaju udostępniania komukolwiek do zwiedzania nowych wzorów swego uzbrojenia. Śmigłowce, które oglądaliśmy, były wówczas prawdziwym cudem techniki lotniczej, nic więc dziwnego, że robiły na nas ogromne wrażenie. Zaimponowały nam pokazane przez dowódcę śmigłowca elementy aparatury i wyposażenia pokładowego rozmieszczone w kabinie i luku transportowym. Szczególny nasz podziw wzbudzały możliwości transportowe tych maszyn, ich udźwig i gabaryty ładunku. Porównywaliśmy od ruchowo liczbę wszelkiego rodzaju przyrządów pomiarowych i wskaźników zainstalowanych w śmigłowcach z tym, co stanowiło wyposażenie naszych czołgów; w czołgu było nieco skromniej, ale za to na ziemi.

Gdy po obejrzeniu sprzętu syci wrażeń przysiedliśmy na murawie przy burcie śmigłowca, przyszedł czas na małą pogawędkę z naszymi gospodarzami. Tematy narzucały się same: rozpoczęliśmy od warunków codziennej służby i życia na lotnisku, by w końcu przejść do zwierzeń o naszych bliskich pozostawionych gdzieś daleko, w rodzinnych stronach.

Z czasem jednak rozmowa przestała się kleić, uznaliśmy więc, że pora wracać do naszego obozowiska. Dowódca śmigłowca widząc, że nastroje wyraźnie opadły, spojrzawszy na swoich kolegów, z błyskiem w oku zaordynował: *No to co, rozstańmy się godnie z naszymi towarzyszami tankistami, szturman (nawigator) – a no dawaj stakańczyki!* Jak się okazało, „stakańczyk” to u naszych wschodnich braci Słowian uniwersalna podróżna wersja szklanego naczynia, kształtem przypominająca szklankę do herbaty, lecz wykonana z grubszego szkła i o nieco mniejszej pojemności (około 150 g). Wywołany nawigator śmigłowca wprawnym ruchem sięgnął pod fotel w kabinie pilotów, skąd wyciągnął karton ze szklankami. W tym samym czasie mechanik pokładowy wskoczył do ładowni, gdzie do burty zamocowany był 20-litrowy kanister. Odpiął go, otworzył, po czym do każdego z rozstawionych już stakańczyków wlał odmierzoną wprawnym okiem miarkę tajemniczo wyglądającego gęstego płynu, który jak się później okazało był mieszaniną spirytusu z gliceryną dynamitową (płyn do amortyzatorów stosowany w śmigłowcach, w czołgach zresztą też). Gdy po dość obfitej degustacji tego szlachetnego trunku wracaliśmy do naszego obozu, okazało się, że nie odczuwamy jakichkolwiek trudności z pokonywaniem na naszej drodze przeszkód terenowych w postaci rowów,

kolein, wykrotów i kopców. Najwidoczniej spożyty płyn spełniał swoje pierwotne przeznaczenie: doskonale amortyzował! Zapadł już zmrok, gdy dotarliśmy do namiotów obozowiska.

Stabilizująca się coraz bardziej sytuacja w Czechosłowacji miała także znaczący wpływ na nastroje żołnierzy przebywających w enklawach obozowisk izolowanych od świata zewnętrznego. Stąd też życie „towarzyskie” żołnierskiej społeczności przeniosło się w pobliże naszej pułkowej kantyny. Korzystali z niej zarówno nasi ludzie, jak i żołnierze pozostałych kontyngentów. Ten cały bazar na kółkach pod auspicjami Wojskowej Centrali Handlowej był przeznaczony do obsługi wojska w warunkach polowych. Składał się z dwóch specjalnych kontenerów (stanowiących bufet i magazyn) zainstalowanych na podwoziu ciężarówki terenowej i przyczepy transportowej. Pani „markietanka” przywoziła tym sprzętem z kraju wszystko to, co żołnierzom było nieodzowne w warunkach polowych, a czego nie dostawaliśmy w naturze od szefa kompanii. Można więc było nabyć tu kosmetyki i akcesoria niezbędne do utrzymania higieny osobistej, a także skarpetki, chustkę do nosa itp., jak również papierosy, słodycze, napoje owocowe, materiały piśmienne, no i mnóstwo jeszcze innych drobiazgów, które dają żołnierzom złudzenie, że nie ze wszystkim oderwali się od cywilizowanego świata. Można było także wypić tu prawdziwą kawę czy herbatę!

Gdy nasi sojusznicy zwiedzieli się o tym, że posiadamy taki przybytek, zaczęli gromadnie go oblegać. Któregoś dnia żądny kawy, ustawiłem się w kolejce przed bufetem i z nudów obserwowałem, który z oferowanych przez kantynę towarów budzi największe zainteresowanie klientów. Ze zdumieniem zauważyłem, że prawie każdy z żołnierzy sojuszniczej armii dokonywał zakupu kartonu zawierającego 12 buteleczek wody brzozonej, stosowanej jak wiadomo do pielęgnacji włosów i skóry głowy. Nasi sojusznicy zaś, ludzie niezwykle dociekliwi i praktyczni, odkryli jak z tego wynikało jej dodatkowe zalety. Zakupioną wodę brzożową wynosili w ustronne miejsce i tam wypijali duszkiem zawartość każdej 100-mililitrowej buteleczki, po czym, prawdopodobnie, by zapewnić podjętej kuracji pełną skuteczność, zdradzając już niekiedy wyraźne oznaki zachwianej równowagi, stawali ponownie przed bufetem kantyny. Za sprawą naszego dowództwa, a ku rozpaczy naszych sojuszników, życiodajne źródło zaczęło jednak wysychać.

Spotkania pod kantyną służyły także doskonaleniu umiejętności językowych, ale też wymianie różnych przedmiotów użytkowych z naszymi sojusznikami. Na tym pełnym igrzysku wschodniej egzotyki bazarze sam wszedłem w posiadanie aparatu fotograficznego „Zorka-4”. Aparat ten służył mi jeszcze długie lata, aż do czasów, gdy w fotografii zapanowała technika cyfrowa. Wykonałem nim mnóstwo doskonałych zdjęć, które zdobią rodzinne albumy. Ilekroć jeszcze sięgam po niego, zawsze wracają do mnie wspomnienia tamtej chwili, a w uszach brzmi pytanie zadane mi wówczas przez młodego sowieckiego oficera, który na bazarze pod kantyną zaferował mi ową zorkę: *tankist, machniom?*

Przebywanie wojsk przez dłuższy czas w warunkach polowych zawsze nastęrcza służbom kwatermistrzowskim wiele kłopotów. Dotyczy to problemów zakwaterowania, żywienia, a także zapewnienia niezbędnych warunków higieniczno-sanitarnych (kąpiel, wymiana bielizny, zapewnienie dostaw środków higieny osobistej, ale także skrupulatne utrzymanie czystości w polowych sanitariatach). Przez cały

czas naszego przedłużającego się pobytu w Czechosłowacji w naszym obozowisku systematycznie pojawiała się ekipa z pułkowego plutonu chemicznego obsługująca instalację IRS. Była to cysterna samochodowa z zamontowanym urządzeniem do podgrzewania wody. Przeznaczeniem tej instalacji było przede wszystkim prowadzenie odkażania w sytuacjach skażeń promieniotwórczych, ale równie dobrze odgrywała ona rolę dwuczęściowej (w jednym namiocie była szatnia, a w drugim natryski) łaźni polowej. Kąpiel w gorącej wodzie połączona z wymianą bielizny to zawsze była dla żołnierzy wielka frajda, szczególnie zaś dla pancerniaków, wiecznie przecież ubabranych smarami, kurzem i błotem. Kąpiele takie fundowano nam raz na tydzień, a do codziennej porannej toalety musiała nam wystarczyć woda, oczywiście zimna, dowożona beczkowitzem. Wieczorem zaś oprócz wody z cysterny kuchnia polowa dostarczała nam dodatkowo podgrzewanej wody, ale niestety w tak znikomej ilości, że wystarczała jej zaledwie do mycia zębów. No cóż, takie były wówczas realia pobytu w polu.

Pewnego dnia, pod koniec naszego pobytu w Czechosłowacji, a były to ostatnie dni października, kiedy część sprzętu kwatermistrzowskiego została już odesłana do kraju, kąpiel została zaimprovizowana pod gołym niebem. Tego dnia chwycił już przymrozek i trawę, na której rozstawiono natryski, pokrył biały szron. Na ziemi położono tylko drabinki z listew drewnianych i z natrysków popłynęła gorąca woda. Nasze młode wówczas i zahartowane ciała nie reagowały na różnicę temperatur i nie przeszkadzał nam więc panujący dotkliwy chłód. Dla ułatwienia dojazdu cysternom IRS natryski zostały rozstawione prawie przy samej drodze, w dodatku dość uczęszczanej. Nie przewidziano jednak, że widok kąpiących się w szczerym polu golasów spowoduje spory zator na drodze. Jego sprawczyniami były podróżujące samochodami czy rowerami panie, które zaabsorbował ten niecodzienny widok. Nasi chłopcy korzystający z rozkoszy kąpieli dopiero po pewnym czasie zorientowali się, że są obiektem tak wielkiego zainteresowania ze strony czeskich pań. Nie czmychnęli jednak jak stado wystraszonych kuropatw, lecz zarzuciwszy na biodra ręczniki, niczym torreadorzy, kołyszącym się krokiem, wolno opuszczali arenę (miejsce kąpieli). Panie były wielce niepokieszone zakończeniem tego widowiska i długo dopytywały się, czy i kiedy będą miały okazję obejrzeć jeszcze kolejne jego odsłony.

Przedłużający się pobyt u Czechów zaczął nam już mocno doskwierać! Szczególnie nieprzyjemnie zaczęło się robić, gdy coraz częściej poczęto przebąkiwać o tym, że jednostki wojsk czechosłowackich stacjonujące dotychczas tu, w Milovicach, miały zostać przebazowane do Słowacji, a w zwolnionych koszarach mają otrzymać kwatery zimowe wojska sojusznicze. Tak też się stało, choć dotyczyło to tylko wojsk sowieckich. Nam zaś przekazano wkrótce informację, że za 3 dni zwijamy i wracamy do domu. Zapanowała wówczas wśród nas przeogromna i nieopisana radość. Już następnego dnia przystąpiliśmy do likwidacji obozowiska. Zasypany wszystkie wykopane dziury w ziemi, które dotąd były nam nieodzowne, by po naszym wyjeździe nie pozostał po nich żaden ślad. Gdy moi chłopcy zajęci byli pracami porządkowymi, znalazłem jeszcze chwilę, by wpaść do kantyny przy sztabie Frontu Wojsk Radzieckich w Milovicach, gdzie chciałem zakupić jakieś podarunki dla małżonki i najbliższych. Jeden z kolegów użyczył mi trochę tzw. certyfikatów, czyli rubli wojennych (stanowiły one wówczas środki płatnicze),

za które można było coś zakupić. Okazało się, że za niewielkie pieniądze można tu było nabyć całkiem spore flaszki różnego rodzaju wód kolońskich i perfum, papierosy lepszych gatunków i inne jeszcze drobiazgi. Wybrałem więc coś dla każdego z rodziny.

Nastąpiła teraz wielka krzątanina przy zwijaniu całego naszego gospodarstwa, które przez czas naszego tu pobytu obrosło w różne sprzęty i elementy wyposażenia. Trzeba było to wszystko spakować i załadować na czołgi i samochody. Wykorzystywane jako posłania bele prasowanej słomy należało złożyć w przyzmy, a cały teren uporządkować, przywracając go do stanu pierwotnego. Po latach myślę, że nie byliśmy zbyt uciążliwymi sąsiadami dla mieszkańców okolicznych wiosek i osiedli. Oni zaś, choć zapewne nasz wyjazd przyjęli z ogromną ulgą, prawdopodobnie nie wywili do nas specjalnych pretensji ani żalu.

Wyciągnięta na drodze kolumna batalionu czołgów, do której w tzw. międzyczasie dołączyła 2 kompania por. Walczaka, już od wczesnych godzin rannych z niecierpliwością oczekiwała hasła do załadunku na transport kolejowy. Wreszcie padła komenda: „silniki w ruch!”, a po chwili: „naprzód!”. Wozy równiutko, jak za pociągnięciem sznurka, ruszyły w kierunku stacji załadowczej Vlkawa. Tu wystąpiło jednak pewne utrudnienie, gdyż na tej małej stacyjce nie było rampy, z której moglibyśmy ładować czołgi na lory. Z pomocą jak zwykle przyszli nasi łebscy saperzy. Z drewnianych podkładów pod szyny kolejowe, które w obfitości zalegają zawsze przy każdej stacji, ułożyli na torach odpowiedni stos tak, by czołgi mogły wspiąć się na wagony, nie uszkadzając przy tym torowiska. Ta improwizowana rampa zdała egzamin doskonale i wnet wszystkie nasze wozy zostały załadowane i odpowiednio zabezpieczone na czas jazdy. Jeszcze tylko pozostało skrupulatnie sprawdzić, czy wszystko zostało zabrane, ułokować w wagonach ludzi i ich wyposażenie, zorganizować służbę dyżurną na czas przejazdu, no i zameldować gotowość do drogi.

Nasz załadunek, podobnie zresztą jak załadunek pozostałych pododdziałów pułku, odbywał się pod nadzorem oficerów Szefostwa Służby Kolejowo-Drogowej z Wrocławia. Zabezpieczenie medyczne (lekarz z karetką sanitarną) załadunku zapewnili zaś sojusznicy. Gdy moi chłopcy mocowali linami holowniczymi czołgi do platform, podszedł do mnie sowiecki lekarz wojskowy, który z nieukrywaną zazdrością spoglądał na naszą krzątaninę poprzedzającą powrót do domu. Bez ogródki zwierzył mi się ze swego podłego nastroju, spowodowanego koniecznością pozostania w Czechosłowacji. Dodał przy tym, że lekarstwem na ogarniający go smutek mogłoby być tylko coś mocniejszego do wypicia. Ja zaś cierpiałem na brak papierosów; kantinę już zwinięto i nie było gdzie ich kupić. Okazało się, że każdy z nas ma to, czego pragnie jego rozmówca: ja miałem „zadołowaną” gdzieś w bagażu butelkę przywiezionego z kraju spirytusu, on zaś deklarował gotowość zaopatrzenia mnie w papierosy. Finalizacja zaklepanej transakcji odbyła się w sposób iście filmowy.

Usadowieni w wagonach czekaliśmy tylko na gwizdek lokomotywy, by wreszcie ruszyć w drogę do domu. Nagle pomiędzy zabudowaniami stacyjki pojawiła się w tumanie kurzu pędząca sanitarka, która po chwili z piskiem hamulców zatrzymała się przed moim wagonem. Z sanitarki wyskoczył poznany przed chwilą sowiecki lekarz, taszcząc papierową torbę wielkości naszego 50-kilogramowego worka

cementu. Odnalazł mnie wzrokiem, podszedł do drzwi wagonu i wręczył mi torbę z okrzykiem: *To dla ciebie!* Torba okazała się pełna papierosów; starczyło ich dla wszystkich. Błyskawicznie sięgnąłem do torby polowej i z ruszającego już pociągu podałem doktorowi flaszkę ze spirytusem. Ten, pochwycając butelkę, najpierw ucałował ją czule, a następnie najwyraźniej uszczęśliwiony, machając nam na pożegnanie, życzył szczęśliwej drogi.

Ciągnące nas dwa czeskie parowozy, ciężko sapiąc (ciągnęły przecież ponad 1300 ton ładunku), powoli nabierały rozpędu. Miałem wrażenie, że ambitni czescy kolejarze postanowili wywieźć nas ze swego kraju z prędkością ekspresu! Zanim się spostrzegliśmy, mijaliśmy już miasto Mlada Boleslav! Pojawiły się jednak górki i droga stawała się coraz trudniejsza do pokonania. Już nocą mijaliśmy Trutnov, Jablonec i Liberec. Pokonując Góry Izerskie, przejeżdżaliśmy przez liczne na tej trasie wiadukty i tunele. W pewnej chwili, podczas pokonywania jednego z takich dość długich tuneli, od iskier z parowozu zapaliła się plandeka ciężarówki na lorze, tuż za parowozem. Próbowaliśmy przy pomocy zainstalowanego w lokomotywie telefonu powiadomić kolejarzy, by zatrzymali pociąg w celu ugaszenia pożaru. Niestety, było to bezskuteczne! Zwykle w lokomotywie ciągnącej transport wojskowy umieszczano się wartownika, lecz tym razem odstąpiliśmy od tego na prośbę czeskich kolejarzy, twierdzących, że to małe parowozy i brak w nich miejsca dla żołnierza z ochrony konwoju.

Sprawa stawała się dość niebezpieczna, na ciężarówkach bowiem znajdowały się także skrzynie z amunicją. Gdyby pożar się rozszerzył, mogłoby dojść do tragedii.

Przytomnie zachował się dowódca warty, który ze swego wagonu znajdującego się w środku składu pociągu puścił serię z kałacha w górę, by zwrócić uwagę kolejarzy. Niestety, nie poskutkowało. Nie mając innej możliwości zwrócenia uwagi maszynisty na to, co się dzieje, na pierwszym zakręcie, gdy pociąg wygiął się jak wąż, wartownik wywalił serię w burtę węglarki, tuż za parowozem. Gdy czescy kolejarze zorientowali się, że to nie przelewki, natychmiast ostro zahamowali. Po zatrzymaniu pociągu załogi czołgów dopadły gaśnic i stosunkowo szybko pożar został oparty, a wkrótce ugaszony. Spaliła się tylko część plandeki. Strachu i emocji było przy tym jednak sporo. Kolejarzy zaś ostro zbesztano i nakazano im, by zgodnie z instrukcją o przewozach transportów wojskowych systematycznie i skrupulatnie sprawdzali stan przewożonego ładunku (pojazdów), szczególnie podczas przejazdu tunelami. Ci zaś wystraszeni tym, co się przed chwilą wydarzyło, z pokorą i skruczą przyjęli słowa reprimendy od komendanta eszelonu radzi, że tylko na tym się skończyło i nie dostali po głbie, co niechybnie by się stało, gdyby transportem tym jechali Sowietci. Dalej już, do samej polskiej granicy, jazda przebiegała sprawnie i nie zdarzyło się nic szczególnego.

Tuż przed świtem, około 6 nad ranem, pociąg wtoczył się na graniczną stację w Zawidowie. Zatrzymaliśmy się tu na chwilę, niezbędną dla zmiany lokomotyw. Wysiadłem więc z wagonu, by sprawdzić posterunki wartownicze przy czołgach. Wraz ze mną wysiadło jeszcze dwóch oficerów, pragnących także po trudach podróży rozprostować kości (spaliliśmy w wagonach po spartańsku, tradycyjnie, na pryczach z desek).

Przy okazji postoju szef kuchni polecił kucharzom napełnić kotły wodą, by można było w czasie jazdy ugotować gorący posiłek dla wojska. Ponieważ do stacyjnej

czerpni wody było około 200 m, a 60-litrowe kotły na wodę nie były lekkie, więc nasi pomysłowi kucharze ściągnęli stojącą obok na torach drezynę i wrzuciwszy na nią kotły, pojechali po wodę. Gdy już wracali, z naprzeciwnika, po tym samym torze nadjechał oczekiwany przez stojące na peronie czeskie celniczki wagon służbowy. Nastąpiło ostre hamowanie wagonu i drezyny. Niewiele brakowało, a doszłoby do kolizji! Gdyby nie moja ostra interwencja, kucharze gotowi już byli rozprawić się z motorniczym czeskiego wagonu służbowego za to, że przez jego nieuwagę wyłało im się z kotłów parę litrów życiodajnej wody. Wszystko skończyło się jednak polubownie w chwili, gdy motorniczy na przeprosiny obdarował kucharzy deficytowym dla nas towarem – paczką papierosów.

W przyjacielskiej atmosferze pożegnaliśmy więc Zawidów. Stąd do naszych domów pozostało już zaledwie kilka godzin jazdy. Rozpierała nas radość, że jesteśmy cali i zdrowi, no i wreszcie u siebie, we własnym Kraju!

Tadeusz Oratowski